

Nie będzie Niemiec pluć mi w twarz...



W Niemczech znalazłem się w lipcu 1989 roku. Jako emigrant polityczny, pierwsze 3 lata spędziłem w obozach dla uchodźców. Klimat i atmosfera panująca w tych miejscach niejednego zahartowałyby niczym stal. – pisze w felietonie dla wMeritum.pl Wojciech Pomorski, ojciec dwóch germanizowanych od 10 lat dziewczynek.

Wyjechałem do Niemiec w 1989 roku ze względów politycznych. Zostawiłem za sobą beztrudne lata młodości spędzone w rodzinnym Bytowie na Kaszubach (Pomorskie) i jako 19 latek zacząłem zupełnie nowe, samodzielne i niełatwe życie. Inna kultura, inny język, zostałem rzucony na przysłowiową „głęboką wodę”.

Mój ojciec działał w solidarnościowym podziemiu, przez co moja rodzina była w różnoraki sposób szykanowana, a ojciec internowany. Wielokrotnie miewaliśmy w domu rewizje o czym dowiedziałem się po latach z akt IPN-u, a każdy nasz ruch był dokładnie śledzony i notowany, dzięki czemu wiedzieli, gdzie jestem, czy kiedy mam przerwę w szkole i kiedy można wejść przeszukać mieszkanie w celu znalezienia „niepożądanych materiałów” czy niepodległościowych antykomunistycznych ulotek.

Nauczyciele stwarzali mi problemy w szkole, gdyż jako jedyny w klasie miałem odwagę i wiedzę (!) aby opowiadać o Katyniu, czy o wojnie polsko-sowieckiej 1920 roku, co w tamtych czasach było bardzo źle widziane. Wielokrotnie zrywali mi z piersi polskiego orzełka z koroną, którego od aresztowania ojca w dniu 13 grudnia 1981 roku nosiłem i wyrzucali z klasy aż...” spokojnie i dostosuję się do ogółu”. Tak się jednak nie stało. Wychowałem się w duchu walki o to co prawe i słuszne i nie mogłem się tego zaprzeczyć. Postanowiłem wyjechać z kraju na jakiś czas i spokojnie bez szykan ze strony nauczycieli i innych wyrobników PRL-u zrobić maturę i studia. W dniu wyjazdu z Polski, nie sądziłem jednak, że moja prawdziwa i wytężona walka dopiero nadejdzie, iż będę zmuszony walczyć na obcej ziemi o godność i honor nie tylko swoją, ale i wielu dyskryminowanych Polaków, którzy nieustannie zwracają się z prośbą o pomoc do Polskiego Stowarzyszenia, które prowadzę i o to co w moim życiu najważniejsze – o ukochane córeczki, z którymi zabroniono mi rozmawiać po polsku. Właśnie od tego wszystko się zaczęło.

W Niemczech znalazłem się w lipcu 1989 roku. Jako emigrant polityczny, pierwsze 3 lata spędziłem w obozach dla uchodźców. Klimat i atmosfera panująca w tych miejscach niejednego zahartowałyby niczym stal. Tak też stało się i ze mną. Było wiele trudnych sytuacji, z którymi trzeba było się zmierzyć i sobie poradzić ucząc się jednocześnie języka kraju, w którym przyszło mi żyć. Nie załamane się jednak, robiłem co w mojej mocy, aby przez to przebrnąć i odnaleźć się w tamtej kompletnie innej od dotychczas mi znanej rzeczywistości. Po takiej „szkole przetrwania” przyjechałem na krótko do Polski, po czym znów wróciłem do Niemiec i zapisałem się do szkoły pielęgniarskiej.

Następnym krokiem było zrobienie matury. W tej właśnie szkole poznałem moją przyszłą żonę. Była cichą, spokojną, skrytą w sobie, dobrze zbudowaną i ładną blondynką. Spodobaliśmy się sobie wzajemnie i po 3 latach wzięliśmy ślub. Nie zwracałem uwagi na uprzedzenia, że ona jest Niemką. Przecież tamte czasy już dawno minęły, myślałem i nie ma sensu odgrzebywać ciemnych kart naszej historii i przenosić je na naszą miłość. Jesteśmy nowym pokoleniem i nas to nie dotyczy. Pamiętałem i miałem w pamięci wielkoduszne słowa polskich biskupów do Niemców „wybaczamy i prosimy o wybaczenie”. Myślałem, że Niemcy to już zupełnie normalny naród i kraj. Nie do końca jednak miałem rację...

Z naszego małżeństwa urodziły się 2 córki Justyna Maria i Iwona-Polonia. Wydawało się, że wszystko dobrze się układa. Żona nauczyła się niełatwego przecież dla obcokrajowców języka polskiego, jednak jej niemiecka rodzina uprzedzona, a nawet powiedziałbym pałająca nienawiścią do Polaków, zaczęła otwarcie i coraz natarczywiej buntować ją przeciwko mnie. Dopiero po ślubie dowiedziałem się, że trzech bracia babki mojej żony służyli w SS i zginęli w Polsce, dlatego wszystko co polskie mieli w głębokiej pogardzie i nienawiści. Mnie też wiele razy dali odczuć, że Polak to ktoś gorszy, godny pogardy, a oni – Niemcy, to rasa panów. Bolesnej lekcji historii doświadczyłem w swoim domu na własnej skórze. Ich destrukcyjne działania, osiągały także moich dzieci.

Studiowałem zaocznie, więc czasem nie było mnie w domu, a po powrocie zauważałem poważne zmiany w zachowaniu żony i dzieci. Przez jej usta przemawiali teściowie, a dzieci ze strachem szeptały między sobą po polsku, bo „babcia i dziadek krzyczą na nie, aby nigdy więcej nie używały tego języka”. Rozmawiałem wielokrotnie z żoną na ten temat, lecz ona uspakajała mnie, że ma wszystko pod kontrolą. Zerwała nawet na jakiś czas kontakt z rodziną, lecz ja – dziś tego żałuję – „idealista”, z powrotem go odnowiłem, bo chciałem, aby ona miała kontakt z rodzicami, a dzieci miały dziadków. I to był mój błąd.

Niedługo potem żona znów była pod ich wpływem do tego stopnia, że 9 lipca 2003 roku, gdy wróciłem z zakupów do domu, nie zastałem w nim nikogo. Na ziemi leżały porozrzucane puste kartony po ubrankach dla dzieci i obrączka ślubna. W jej rodzinie były już dwa rozwody: jej babki, matki i teraz miał być jej rozwód, z resztą wielokrotnie przepowiedziany jej przez mamę. Moje córki miały wtedy 6 lat i 3 i pół roku. Jak w każdym przypadku podczas rozpadu małżeństwa, w którym są dzieci, a szczególnie w przypadku małżeństwa dwunarodowościowego, w Niemczech i w Austrii ingeruje Jugendamt czyli organizacja o statusie urzędu do zarządzania młodzieżą.

Jest to w tej formie założona w 1939 roku przez Hitlera instytucja działająca do dnia dzisiejszego w niezmiennym kształcie i o nieograniczonych uprawnieniach służąca w tamtych czasach germanizowaniu dzieci porywanych z podbitych krajów, a dziś stojąca na straży niemieckiego tzw. „dobra dziecka”. Jak pokazało moje późniejsze wieloletnie doświadczenie i praca w „Polskim Stowarzyszeniu Rodzice Przeciw Dyskryminacji Dzieci w Niemczech t.z.” – www.dyskryminacja.de, które w lutym 2007 roku założyłem i które do dziś prowadzę, dobro dziecka widziane przez organizację Jugendamt polega na tym, że dziecko ma być Niemcem i już. Dziecko otrzymuje ten rodzic, który jest Niemcem (lub ten, który deklaruje się zostać w Niemczech), a drugiemu rodzicowi ogranicza się, a z czasem uniemożliwia kontakt z własnym dzieckiem i zabrania mu się rozmawiania z nim w języku innym jak niemiecki.

Sąd ustalił datę widzeń z dziećmi, lecz w Jugendamcie powiedziano mi wprost, że albo będę rozmawiał z dziećmi wyłącznie po niemiecku, albo odwołuję ustalone przez sąd spotkania. Nie wierzyłem własnym uszom i zażądałem, aby dali mi ten zakaz używania języka polskiego na piśmie. Nie chcieli mi nic dać na piśmie. Jednak przez mojego adwokata wymusiłem po kilku miesiącach ten pisemny zakaz języka polskiego, a zarazem niepodważalny dowód rasizmu i dyskryminacji ze względu na polskie pochodzenie i język. Treść była następująca:

„Z fachowo pedagogicznego punktu widzenia nie leży w interesie dzieci, aby podczas spotkań ze swoim ojcem posługiwały się językiem polskim. Jedynie promowanie języka niemieckiego jest dla dzieci korzystne, gdyż w tym kraju wzrastają, tu chodzą i tu będą chodzić do szkół”.

Byłem zszokowany, ale nie mogłem zgodzić się na takie upokorzenie, na tak jawną dyskryminację, no i wyrugowanie języka polskiego. W domu dzieci rozmawiały zarówno po polsku jak i po niemiecku. Znały dużo polskich piosenek, bawiły się często i śpiewały w tym języku, a teraz mają mówić tylko po niemiecku. Od tej chwili polski język, polska kultura i jak się później okazało – ich polski tatuś, którego tak kochały i polscy dziadkowie są zakazane!

Za karę, że się „postawiłem” i chciałem zachować godność ojca i dzieci jak i honor Polaka, zobaczyłem dzieci dopiero po dwóch latach, gdy ani słowa nie umiały już po polsku. Justynka pamiętała tylko ze „Brot” to „chlebek” i że mnie kiedyś nazywała „Tatusch”... W sumie na ponad 10 lat widziałem córki jedynie 16 godzin i to jedynie pod nadzorem aktywistów Jugendamtu. Pierwsze spotkanie po 2 latach było cudowne. Dzieci rzuciły mi się na szyję, obcałowywały mnie, tuliły się do mnie, bawiły się ze mną. Przypomniały sobie jak to było dobrze mieć Tatusia. Justysia na pożegnanie dała mi zrobioną przez siebie własnoręcznie laurkę, w której widniało otoczone serduszkami moje zdjęcie, a młodsza Iwonka-Polonia płakała, gdy ją ode mnie odciągano. Stojąca obok rodzina żony robiła zdjęcia, aby „udokumentować” w sądzie i Jugendamcie, że dzieci płakały nie za mną lecz przeze mnie.

Teraz lata rozłąki, izolowania ich i buntowania przeciwko mnie zrobiły swoje. Z kochanych słodkich iskiereczek, rzucających mi się z miłością na szyję, wyrosły zimne, oschłe i ekstremalnie przeciw mnie nastawione piękne dziewczyny. Również moim rodzicom odmówiono prawa do widzeń wnuczek choćby raz w roku tłumacząc to niemieckim dobrem dziecka: „dla dzieci byłoby stresujące przebywanie w obcym już teraz dla nich środowisku, bo w dodatku nie znają języka polskiego”. Tak twierdził austriacki Jugendamt z Wiednia. To jakaś paranoja! Wytoczyłem państwu niemieckiemu i Austrii, do której przy pomocy Jugendamtu „wyjechała” moja już teraz była żona z dziećmi procesy o zgermanizowanie dzieci, dyskryminację ze względu na narodowość i zakaz używania języka polskiego w kontaktach z nimi.

W Niemczech po 9 latach procesu sprawa przeciw Niemcom o zakaz języka polskiego znajduje się w ostatniej niemieckiej instancji – w Trybunale Konstytucyjnym w Karlsruhe. Natomiast sprawa przeciw Austrii o brak regulacji widzeń z dziećmi, przewlekanie latami sprawy spotkań i o opieszałość sądu oraz złamanie kilku artykułów Konwencji Praw Człowieka jest już w Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu. Liczę, że tam zapadnie sprawiedliwy wyrok i zarówno Niemcy jak i Austria zostaną ukarane za łamanie podstawowych praw człowieka, własnej konstytucji szanującej jego godność i honor i między innymi Traktatu Polsko-Niemieckiego z 17.06.1991 gwarantującego każdemu obywatelowi RP prawo do posługiwania się językiem ojczystym w życiu publicznym i prywatnym.

18 lutego 2007 roku w Hamburgu założyłem „Polskie Stowarzyszenie Rodzice Przeciw Dyskryminacji Dzieci w Niemczech t.z.” – www.dyskryminacja.de. Powstanie tej instytucji wymusiło samoczynne, masowe zgłaszanie

się ludzi do mnie o pomoc po medialnym nagłośnieniu mojej walki z bezprawiem i dyskryminacją w Niemczech i w Austrii. Znam przypadki, że niemiecki sąd przyznał dziecko niemieckiemu ojcu pedofilowi skazanemu prawomocnym wyrokiem za pedofilię, bo lepiej aby dziecko było z nim w Niemczech, niż było z polską matką. Takich i podobnych historii znam mnóstwo, a niektóre nadają się wręcz na scenariusz filmu sensacyjnego. Zasmucające bardzo jest to, że to nie żadna fikcja literacka, a rzeczywistość, i że naprawdę dyskryminuje się w Niemczech i w Austrii Polaków i odbiera się im dzieci. Niemcy i Austriacy wymierają i szukają nowego materiału na nowe pokolenia Niemców, a my jesteśmy dla nich łatwym „łupem”, zaś nasze dzieci doskonałym „narybkiem” na nowe pokolenia Niemców.

W stosunku do rodzin islamskich, niemieckie i austriackie Jugendamty wykazują dalece idącą „powściągliwość”. Mają świadomość tego, że w przypadku odseparowania od rodziny i zgermanizowania dziecka z rodziny islamskiej, dostaliby za to zwyczajnie nóż w brzuch. O nas Polaków nikt nie walczy. Polski rząd się za nami nie ujmuje. MSZ Sikorskiego w myśl tego co twierdzi premier Tusk nie ma zamiaru nadszarpywać rzekomo „najlepszych od dziesięcioleci stosunków polsko–niemieckich”. Na konsulaty i ambasady RP podległe Sikorskiemu w walce o masowo odbierane polskim rodzicom dzieci nie mamy co liczyć. Oni wolą popijać szampana na rautach dla swoich starannie dobranych statystów i wznosić toasty za polsko-niemiecką „przyjaźń”. Tylko, że my Polacy, tu na emigracji, wiemy jak ta „przyjaźń” i współpraca wygląda. Nie nawołuję tutaj do wrogości w stosunku do Niemców lub Austriaków, gdyż w naszym Stowarzyszeniu – *Dyskryminacja.de* – mamy wielu zaprzyjaźnionych Niemców – w tym byłego pracownika Jugendamtu, który z etycznych względów zaprzestał pracy w tej organizacji, gdyż widział rażącą dyskryminację i szykanowanie obcokrajowców i bezprawne odbieranie im dzieci. Apeluję tylko aby polski rząd zaprzestał tak żenującej i służalczej postawy wobec Niemiec i Austrii oraz wreszcie jasno wstawił się za germanizowanymi na oczach Europy w XXI wieku polskimi dziećmi.

Jugendamty w/g statystyk odbierają rocznie 40 000 dzieci i operują budżetem ok. 25 miliardów euro. Nasze Stowarzyszenie nie jest dotowane przez aktualny polski rząd. Otrzymaliśmy jedynie dość istotne wsparcie finansowe w 2007 roku, za rządu PiS-u, gdy Ministrem Spraw Zagranicznych była Pani Anna Fotyga. Od czasu przejścia władzy w Polsce przez ekipę Tuska w 2008 roku utrzymujemy się jedynie ze skromnych składek członkowskich i datków ludzi dobrej woli, a koszty procesów sądowych i potrzeby zgłaszających się do nas o pomoc ludzi są ogromne. Jeden rachunek od adwokata, czy za tzw. opinię biegłych może wynieść nawet kilka tysięcy euro. Czasem rodzice rezygnują, zwyczajnie się poddają, bo nie są w stanie udźwignąć tego emocjonalnego i finansowego ciężaru.

Na szczęście w naszym Stowarzyszeniu mamy wielu wspaniałych, wykwalifikowanych i zaangażowanych sercem ekspertów i specjalistów, dlatego bardzo dużo spraw udaje nam się zakończyć sukcesem i polskie dzieci zostają wyrwane ze szponów niemieckiego lub austriackiego Jugendamtu i wracają do swoich udręczonych walką rodziców. Dla tej chwili warto podjąć wszelkie starania i wysiłki, bo tego widoku nie da się porównać z żadnym innym. Łza się w oku kręci. Mam nadzieję, że w moich oczach też kiedyś zakręcą się łzy szczęścia, gdy doczekam tej chwili, że moje dwie ukochane dorosłe już prawie córeczki, zapukają któregoś dnia do drzwi mojego mieszkania albo dostaną smsa lub maila o treści: „Cześć tatuś, chętnie się z tobą spotkam, co ty na to?”. To będzie najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Autor:

Mgr Wojciech Leszek Pomorski

Prezes

Polskie Stowarzyszenie Rodzice Przeciw Dyskryminacji Dzieci w Niemczech t.z.

www.dyskryminacja.de

Hamburg 01.08.2013